

To już niemal połowa lutego, za sześć tygodni wiosna. Ptaki już śmieiej się odzywają, wyraźniej słyszeć sikory, wróble, widać już ciągnące klucze gęsi, skrzeczą bażanty, a lada moment pojawią się skowronki. Tyle, że aby je usłyszeć, trzeba się wybrać w pola.

Przebiśniegi korzystają z braku okrywy śnieżnej i wystawiają listki i zaczątki białych główek, coraz to grubsze stają się pąki na drzewach i krzakach, trawa prostuje przygniecione źdźbła no i, rzecz nie do przeoczenia, wydłużył nam się dzień.

Straszą nas, co prawda, jeszcze śniegiem i mrozem, ale to zima, zatem ma prawo. Już się cieszę na to wariactwo kolorów i dźwięków, które jeszcze trwa przyczajone - jak do skoku, żeby eksplodować, gdy się tylko nieco ociepli. Nie nadążymy zauważać i słuchać. Po każdej wiośnie mam niedosyt i żal do siebie, że tyle przegapiam, nie widzę, nie zauważam, nie słyszę. To szaleństwo natury to taka uwertura do tego, co się będzie działo w raju. Już sobie wymyśliłam, że zaprzyjaźnię się tam z gadającą papugą, dużą, kolorową, siedzącą mi na ramieniu - pod warunkiem, że mnie tam wpuszczą...

Przypomniała mi się urocza przedwojenna anegdota, którą opowiedziała mi moja przyjaciółka. Otóż nauczyciel wywołuje ucznia do odpowiedzi i pyta go, jak się nazywa. W odpowiedzi słyszy „idzi wiosna”. Ponawia pytanie - znowu „idzi wiosna”. Nieco zirytowany zwraca uwagę, że nie pyta o porę roku, tylko o imię i nazwisko. W sukurs przychodzi inny uczeń, który wyjaśnia nauczycielowi, że chłopak ma na imię Idzi, a nazwisko Wiosna. Idzi Wiosna...

Zosia